

## ZBRODNIA I KARA

### Fragment I

#### Psychika zbrodniarza

Odziany był tak lichy, że niejedyn, nawet otrząskany z biedą, w dzień krępowałby się wyjść na ulicę w takich łachmanach. Skądinąd, dzielnica była tego rodzaju, że nie łatwo byłoby zaskoczyć tu kogokolwiek swym strojem. Bliskość placu Siennego, obfitość lokali wiadomego autoramentu, ludność przeważnie rękodzielnicza i rzemieślnicza, stłoczona w tych śródmiejskich petersburskich, ulicach i zaułkach – niekiedy urozmaicały ogólną panoramę takimi typami, że naprawdę trudno się było zdziwić na widok takiej czy owakiej figury. Ale w duszy młodzieńca nagromadziło się tyle zacieklej pogardy, że mimo swa drażliwość, czasem bardzo jeszcze młodocianą, najmniej się wstydził swych łachmanów właśnie na ulicy. Inna sprawa, gdy trafiał na znajomych albo dawnych kolegów, z którymi w ogóle nie lubił się spotykać... A jednak gdy jakiś pijak, którego nie wiadomo po co i dokąd wieziono ulicą w ogromnym wozie, zaprzężonym w ogromnego wałacha, nagle zawołał na niego w przejeździe: „Hej, ty niemiecki kapeluszniku!”, i zaryczał na całe gardło, wskazując na niego – młodzieniec zatrzymał się zniemacka i kureczowo schwycił się za kapelusz. Był to kapelusz wysoki, okrągły, zimmermanowski, ale znoszony do szczytu, wyrudziały, w dziurach i plamach, bez ronda, szkaradnie zgnieciony z jednego boku. Lecz młodzieńca ogarnął nie wstyd, tylko zupełnie inne uczucie, przypominające przestach.

- A co, czy nie wiedziałem! – mamrotał spłoszony – właśnie tak myślałem! To już najgorsze! Przecie jakieś takie głupstwo, jakiś najzwyczajniejszy drobiazg może pokrzyżować cały zamiar! Tak, ten kapelusz zanadto rzuca się w oczy... Jest śmieszny i dlatego rzuca się w oczy... Przy takich łachmanach jak moje musze koniecznie mieć kaszkiet, choćby jakiś stary naleśnik, a nie to czupiradło. Nikt takich nie nosi, gotowi o mile zauważyć, zapamiętać... Grunt, że potem sobie przypomną, no i masz poszlakę. Tu trzeba możliwie najmniej rzucać się w oczy... Drobiazgi, drobiazgi są najważniejsze!... Bo te drobiazgi gubią zawsze i wszędzie”.

#### Pytania do fragmentu I

1. Dokonaj umiejscowienia fragment w całości utworu.
2. Opisz plac Sienny, w okolicy którego mieszka Rodion.
3. Wypisz z tekstu wszystkie określenia charakteryzujące wygląd Raskolnikowa.
4. Jaki jest stosunek Rodiona do społeczeństwa?
5. Jakie stany wewnętrzne przeżywa bohater?

### Fragment II

#### Sposób myślenia

Człowiek jest podły, do wszystkiego przywyka!

Zamyślił się.

- A jeżeli żałował? – zawołał nagle mimo woli – jeżeli w rzeczywistości człowiek nie jest podły... człowiek w znaczeniu ogólnym, w znaczeniu całego rodzaju ludzkiego... w takim razie cała reszta – to zabobony, wymyślone strachy, i nie istnieją żadne nieprzekraczalne granice, i nie powinny istnieć! [...]

Zrazu – ale to już dawno było – zajmowało go jedno pytanie: dlaczego prawie wszystkie zbrodnie tak łatwo wychodzą na jaw i zostają wytropione? Dlaczego tak wyraźnie znać ślady wszystkich prawie zbrodniarzy? Stopniowo doszedł do wielorakich i ciekawych wniosków. Był zdania, że główna przyczyna tkwi nie tyle w materialnej niemożliwości ukrycia zbrodni, ile w samym zbrodniarzu, to sam zbrodniarz – prawie każdy – w chwili przestępstwa ulega jakiemuś upadkowi woli i rozważli, których miejsce zajmuje wprost fantastyczna, dziecięca lekkomyślność w tym właśnie momencie, gdy najkonieczniejsza jest rozważli i przezorność, Był przekonany, że to zaćmienie rozważli i upadek woli ogarnia człowieka jak choroba, rozwija się stopniowo i osiąga swój punkt szczytowy na krótko przed dokonaniem zbrodni; trwa w niezmienionej postaci w samej chwili zbrodni i pewien czas po niej, zależnie od jednostki; po czym mija, jak mijają inne choroby. Kwestii zaś: czy to choroba rodzi zbrodnie, czy też samej zbrodni, na mocy właściwej jej natury, zawsze towarzyszy coś w rodzaju choroby – nie czuł się jeszcze na siłach rozstrzygnąć.

Wysunąwszy takie wnioski zawyrokował, że jemu osobiście, w tej jego sprawie nie mogą się przytrafić takie objawy chorobowe; że rozważa i wola będą mu służyły nieodstępnie przez cały czas spełniania tego, co zamierzał, i to wyłącznie z tej racji, że jego zamiar – „nie jest zbrodnią.”

### Pytania do fragmentu II

1. Co Raskolnikow sądzi o ludziach? Swoją opinię poprzyj cytatem.
2. Jaki są wyraża Rodion na temat moralnych granic postępowania?
3. Jaki problem nurtuje bohatera? Co go dręczy?
4. Do jakich wniosków dochodzi Raskolnikow na podstawie własnych rozważań?
5. Co różni Rodiona od większości zbrodniarzy? Wskaż tę cechę bohatera.

### Fragment III

#### Zamiary i obserwacje

Teraz zaś po upływie miesiąca, już zaczynał patrzeć na to inaczej i wbrew wszystkim przekornym monologom o własnej bezsile i niezdecydowaniu jakoś mimo woli przywykł już poczytywać „potworne” marzenie za realny plan, chociaż w dalszym ciągu nie wierzył sobie. Ot i teraz szedł dokonać próby swego planu i z każdym krokiem wzruszenie jego rosło coraz gwałtowniej.

Z zamierającym sercem, z nerwowym drżeniem podszedł do olbrzymiej kamienicy, z jednej strony wychodzącej na kanał, a drugiej zaś na ulicę W-ą. Dom ten składał się z samych małych mieszkańek, a najmowali je różni rękodzielnicy, krawcy, ślusarzem kucharki, jacyś tam Niemcy, własnym przemysłem żyjące panny, drobni urzędnicy i tak dalej. Wchodzący i wychodzący przesmykiwali się raz po raz pod obydwiema bramami i na obydwu podwórkach. Pracowali tutaj trzej czy cztery stróże. Młodzieniec bardzo był rad, że nie spotkał żadnego z nich, i niepostrzeżenie przemknął się zaraz z bramy na prawo, na schody. Schody były ciemne i ciasne, „kuchenne”, ale on to wszystko już przedtem wiedział i badał, i całe to otoczenie dogadzało mu: w takich mrokach nawet ciekawskie spojrzenie było niebezpieczne. „Jeżeli tak się boję teraz, to cóż by było, gdyby rzeczywiście doszło do tego?...” – pomyślał mimo woli, idąc na czwarte piętro. Tutaj zatarasowali mu drogę wysłużeni żołnierze – tragarze, wynoszący meble z jednego z mieszkań. Już wiedział, że mieszkanie to zajmuje pewien familijny Niemiec, urzędnik z rodziną. „Więc Niemiec teraz się wyprowadza; więc na czwartym piętrze, na tych schodach i na tym podeście pozostanie przez jakiś czas tylko jedno zajęte mieszkanie – staruchy... To dobrze... na wszelki wypadek...” – pomyślał znowu i zadzwonił do drzwi staruszki. [...]

Nieduży pokój, do którego wszedł młodzieniec, pokój z żółtą tapetą, z geranium i muślinowymi firaneczkami na oknach, był w tej chwili jaskrawo oświetlony zachodzącym słońcem. „Więc i wtedy także będzie świeciło słońce!... - mimochodem błysnęło w umyśle Raskolnikowa. Szybkim spojrzeniem obrzucił wszystko w pokoju, ażeby w miarę możliwości zbadać i zapamiętać rozkład.

### Pytania do fragmentu III

1. W jakim celu Raskolnikow idzie do lichwiarki?
2. Wskaż te fragmenty rozważań bohatera, które świadczą o planach popełnienia zbrodni.
3. Jakie zachowania Rodiona zdradzają chęć popełnienia zbrodni?

### Fragment IV

#### Sen

W stanach chorobliwych sny częstokroć odznaczają się niezwykłą plastyką, wyrazistością i nadzwyczajnym podobieństwem do rzeczywistości. Niekiedy powstaje obraz potworny, lecz otoczenie i cały przebieg inscenizacji bywają przy tym tak łudząco prawdopodobne, pełne szczegółów tak subtelnych, nieoczekiwanych, artystycznie zaś tak odpowiadających całokształtowi obrazu, że nigdy by ich nie wymyślił tenże śniący, chociażby takim był artystą jak Puszkina czy Turgeniew. Sny tego rodzaju, chorobliwe sny, zawsze są długo pamiętne i wywierają silne wrażenie na rozstrojonym i już podnieconym organizmie człowieka.

Straszny sen przyśnił się Raskolnikowowi. Przyśniło mu się dzieciństwo w rodzinnym jeszcze miasteczku. Ma ze siedem lat i w dzień świąteczny, przed wieczorem, przechadza się z ojcem za miastem. Zaczyna się szarówka, dzień jest duszny, okolica zupełnie taka jak ta, co przetrwała w jego pamięci; ale nie: w pamięci zatarła mu się daleko bardziej niż to, co teraz miał przed sobą we śnie. Miasteczko stoi na wydmuchu, niby na dłoni, dookoła ani krzaczka; gdzieś bardzo daleko, aż na skraju widnokregu, czernieje lasek. O kilka kroków za ostatnim miejskim warzywnikiem stoi szynk, duży szynk, który zawsze robił na nim jak najprzykrzejsze wrażenie i nawet budził w nim strach, kiedy go mijał w towarzystwie ojca. Panował tam zawsze zgiełk, ścisk, ktoś wrzeszczał, śmiał się, sadił diabłami, ludzie śpiewali szkaradnie i ochryple, ba, często wodzili się za łby. Wokół szynku szwendały się zawsze pijackie i straszne gęby... Przy spotkaniu z nimi mocno się tulił do ojca i drżał cały. Około szynku - opłotki, droga zawsze pełna kurzu, a kurz na niej zawsze taki czarny. Biegnie ta dróżka przeklęta, a o jakie trzysta kroków stąd skręca w prawo, okalając miejski cmentarz. Pośrodku cmentarza - murowana cerkiew z zieloną banią; do tej cerkwi chodził dwa razy do roku z ojcem i matką na nabożeństwo, kiedy odprawiano modły żałobne za babkę, która zmarła już dawno i której nigdy nie widział. W takich razach brali zawsze ze sobą kucję na białym półmisku, w serwecie; kucja była słodka, z ryżu, z rodzynekami powtykanymi do ryżu tak, że tworzyły krzyż. Lubił tę cerkiew i stare w niej obrazy, przeważnie bez ram, i starego popa z trzęsącą się głową. Obok babuninego grobu, na którym widniała płyta, był malutki grób jego młodszego brata, który umarł jako sześciomiesięczne dziecko i którego również wcale nie znał ani mógł pamiętać; powiedziano mu jednak, że miał kiedyś maleńkiego brata, więc, za każdym razem, gdy odwiedzał cmentarz, pobożnie i z uszanowaniem żegnał się nad mogiłą, bił pokłony i całował ziemię... Otóż śni mu się: Idą z ojcem drogą wiodącą na cmentarz, mijają szynk. Trzyma ojca za rękę i ze strachem ogląda się na szynk. Szczególniejsza okoliczność przyciąga jego uwagę: tym razem odbywa się tu jakaś zabawa - cizba wyfiokowanych mieszczek, wiejskich bab, ich mężów i wszelkiej hołoty. Wszyscy pijani, wszyscy śpiewają, a pod gankiem szynku stoi wóz, lecz wóz to osobliwy: taki duży wóz, zaprzężony w wielkie konie pociągowe i służący do przewożenia towarów oraz beczek okowity. Zawsze lubił patrzeć na te ogromne konie, z długą grzywą, z nogami jak słupy - konie idące spokojnie, miarowym krokiem i ciągnące za sobą istną górę bez żadnego wysiłku, owszem, tak jakby z wozami było im lżej niż bez wozów. Ale teraz, rzecz dziwna, do takiego dużego wozu zaprzężono szkapinę małą, chłopską bułankę, chudą, jedną z tych, które (widywał to często - gęsto) robią bokami wlokąc wysoki wóz drew czy siana, zwłaszcza gdy furmanka ugrzęźnie w błocie lub utknie w koleinie, przy czym woźnica zawsze je bije tak dotkliwie, czasem nawet po łbie i po oczach, a jemu tak żal, tak żal na ten widok, że gotów się rozplakać, a mamusia zawsze odciąga go od okna. Wtem powstaje harmider. Z szynku wychodzą - z krzykiem, z pieśniami, z bałabajkami - pijani, ogromni chłopci w czerwonych i niebieskich koszulach, w jermakach zarzuconych na ramiona. - Wsiadajcie, wsiadajcie wszyscy! - krzyczy jeden z nich, młody jeszcze, z takim grubym karkiem i z twarzą mięsistą, czerwoną jak marchew.

- Wszystkich powiozę, wsiadajcie! - Rozlega się śmiech i okrzyki:  
- Taka chabeta, gdzież ona powiezie!  
- Mikołka! Czy ty masz dobrze w głowie: taką szkapinę założyłeś do takiego wozu!  
- Nie inaczej, tylko ta bułanka ma dobre dwadzieścia lat, chłopcy!  
- Wsiadajcie, wszystkich powiozę! - woła znów Mikołka, pierwszy wskakuje na wóz, ujmuje lejce i staje wyprostowany na przodku. - Gniadego wziął wczoraj Matwiej! - krzyczy z wozu. - A ta kobyłka, braciszku, tylko krew mi psuje; z ochotą zamordowałbym cholere, darmo żre obrok. Wsiadajcie, mówię! Puszczę ją w cwał! cwałować będzie!

I bierze w ręce bicz, z rozkoszą gotując się do okładania bułanki.

- No to wsiadajmy, czemu nie! - śmieje się cizba. - Słyszycie: będzie cwałowała!
- Pewnikiem nie cwałowała już z dziesięć lat.
- Teraz pocwałuje!
- Nie żałujcie, chłopcy, niech każdy bierze batog, przygotujcie się!
- Racja! Różnijcie ją!

Wszyscy się gramolą na wóz Mikołki ze śmiechem i conceptami. Wlazło ze szczęciem; jeszcze jest miejsce. Biorą ze sobą jedną babę, pulchną i rumianą. Ma na sobie czerwony kaftanik, kiczkę z paciorkami, na nogach miękkie cizmy; gryzie orzeszki i z cicha chichocze. Tłum zrywa boki ze śmiechu, bo : jakże się nie śmiać: taka kobyłka od siedmiu boleści ma cwałem ciągnąć taki ciężar! Dwa parobczaki na wozie od razu ujmują baty, by pomagać Mikołce. Rozlega się: „Wio!”, szkapina szarpie z całej siły, ale nie tylko w cwał, lecz nawet stępa ledwie-ledwie rusza, przebiera nogami, postępuje i przysiada pod ciosami trzech batów, sypiących się na nią jak groch. Śmiech na wozie i w tłumie potęguje się, lecz Mikołka jest zły i ze wściekłości smaga, coraz gęściej smaga kobyłkę, jakby istotnie sądził, że będzie mogła pójść w cwał.

- Bracia, zabierzcie i mnie! - rozochocił się któryś parobek spośród tłumu.

- Wsiadajcie! Wszyscy wsiadajcie! - krzyczy Mikołka. - Ona wszystkich powiezie. Zamorduję! – i grzmoci, grzmoci, już sam nie wie, czym bić - tak się zapamiętał.

- Tatusiu, tatusiu! - woła mały Rodion do ojca - tatusiu, co oni robią! Tatusiu, biją biednego konika!

- Chodźmy, chodźmy! - mówi ojciec. - Pijani, durnie, awanturują się; chodźmy, nie patrz. – I chce go odciągnąć, lecz on mu się wyrywa i jak nieprzytomny biegnie do konia. Ale z nieszczęsnym konikiem już się marnie dzieje. Dyszy ciężko, przystaje, znów szarpie, omal nie pada.

- Smagaj na śmierć! - wrzeszczy Mikołka. - Było nie było. Zakatrupię!

- Cóż to, diable wcielony, nie chrzczono ciebie czy jak? - woła staruszek z tłumu.

- Słyszane rzeczy, żeby taki koniczek włókł taki ciężar! - dorzuca drugi.

- Zamęczysz go! - krzyczy trzeci.

- Cicho bądźcie! To moja klacz. Co zechcę, to zrobię. Wsiadajcie! Wszyscy wsiadajcie! Chcę, żeby poszła w cwał!...

Nagle śmiech wybucha jak salwa i pokrywa wszystko: kobyłka nie wytrzymała coraz gęstszych razów i z rozpaczy zaczęła wierzgać. Nawet staruszek nie utrzymał powagi, uśmiechnął się. No, bo proszę: takie byle co, a wierzga!

Jeszcze dwóch parobków z tłumu chwytą bicze i podbiega do konika, by go okładać z boków. Każdy nadbiega ze swej strony.

- Po łbie ją, po ślepiach, po ślepiach! - wrzeszczy Mikołka.

- Zaśpiewajmy, bracia! - proponuje ktoś w wasągu, a wszyscy podchwytną. Rozlega się hulaszczą pieśń, dzwonią dzwoneczki, śpiewający przygwizdują. Babinka gryzie orzeszki i z cicha chichocze.

...Malec biegnie obok szkapiny, zabiega od przodu, widzi, jak ją smagają po oczach, po samych oczach! Płacze. Serce podstępnie mu do gardła, płyną łzy. Jeden z bijących zadrasnął go po twarzy; on tego nie czuje; łamie ręce, krzyczy. Rzuca się do staruszka z siwą brodą, który kiwa głową, potępiając tę całą hecę. Jedna z kobiet bierze go za rękę i chce odciągnąć, ale on się wyrywa i znów biegnie do szkapiny. Ta już goni resztkami sił, lecz jeszcze raz próbuje wierzgnąć.

- A niech cię wszyscy diabli! - ryczy rozjuszony Mikołka. Odrzuca bat, pochyla się i wyciąga z dna wozu długą, grubą-wołobłą, oburącz bierze ją za jeden koniec i z wysiłkiem podnosi nad bułanką.

- Ukatrupi! - wołają wszyscy.

- Zabije!

- Moja klacz! - krzyczy Mikołka i z rozmachem spuszcza wołobłą. Rozlega się ciężki cios.

- Grzmóćcie ją, grzmóćcie! co się gapicie? - padają głosy z tłumu.

A Mikołka zamierza się po raz drugi i oto drugi cios z całego rozmachu pada na grzbiet nieszczęśliwej szkapiny. Ona przysiadła całym zadem, ale się podrywa i szarpie, szarpie ze wszystkich sił, targa w różne strony, żeby wóz wyciągnąć; zewsząd jednak chłoszczą ją sześć biczy, a wołobłą znowu się podnosi i spada po raz trzeci, potem po raz czwarty, miarowo, z rozmachem. Mikołka szaleje ze wściekłości, że nie może jej zabić od pierwszego ciosu.

- Uparta bestia! - krzyczą dookoła.

- Zaruteńko padnie na pewno, bracia! Przyszła na nią kreska! - krzyczą ktoś z tłumu.

- Siekierą ją! co tam! Skończyć z nią od razu! - poddaje trzeci.

- Et, co się będę cecka! Rozstąpić się! - wrzeszczy Mikołka jak wariat, odrzuca wołobłą, znowu się schyla i z dna wasągu wydobywa żelazny drąg...

- Uwaga! - krzyczy i co sił ogłusza z rozmachu biednego konika. Cios łomotnął: klaczka się zachwiała, przysiadła, chciała znów szarpnąć, ale łom powtórnie pada z rozmachem, na jej grzbiet; szkapina wali się na ziemię, jakby jej kto podciął wszystkie cztery nogi naraz.

- Dobijać ją! - ryczy Mikołka i jak opętany zeskakuje z wozu. Kilku parobków, również czerwonych i pijanych, chwytają ją, co wpadnie pod rękę

- bicze, kije, wołobłą, i biegnie ku zdychającej kobyłce. Mikołka staje z boku i na oślep zaczyna bić ją po grzbiecie. Szkapina wyciąga łeb, ciężko wzdycha i umiera.

- Zadręczył! - wołają z ciżby.

- A czemu nie chciała pójść w cwał!

- Moja klacz! - krzyczy Mikołka z łomem w ręku, z krwią nabiegłymi oczami. Stoi, jakby żałując, że już nie ma kogo katować.

- Widać naprawdę nie masz Boga w sercu! - padają z tłumu coraz liczniejsze głosy.

Lecz biedny chłopczyk już jest jak nieprzytomny. Z krzykiem przedziera się przez ciżbę do bułanki, zarzuca ramiona na jej martwy, skrwawiony łeb i całuje, całuje w oczy, w pysk... Później nagle zrywa się i w zapamiętaniu rzuca się z piąstkami na Mikołkę. W tej chwili ojciec, który od dawna biegł za nim, porywa go wreszcie i wynosi z tłumu.

- Chodźmy! chodźmy! - powiada - chodźmy do domu!
- Tatusiu! Za cóż oni... biednego konika... zabili? - chłapie mały, lecz traci oddech i słowa wyrrywają mu się ze zdławionej piersi jako krzyk.
- To pijacy... awanturnicy... nie nasza rzecz, chodźmy sobie! - mówi ojciec. Chłopiec okala jego szyję ramionami, ale na piersi mu ciężko, ciężko. Chce zaczerpnąć tchu, coś wykrzyknąć – i budzi się.
- Raskolnikow obudził się cały w potach, z mokrymi włosami, zziębnięty. Uniósł się przerażony.
- Bogu dzięki, że to tylko sen! - rzekł siadając pod drzewem i głęboko zaczerpując powietrza. - Ale co to jest? Może początek gorączki? Taki ohydny sen!
- Ciało miał jak pobite, w duszy zamęt i mrok. Oparł łokcie na kolanach i obydwoma rękoma ujął głowę.
- Boże! - zawołał - czyż ja naprawdę, rzeczywiście wezmę siekiere, zacznę walić po głowie, zmiażdżę jej czaszkę... będę się ślizgał w lepkiej, ciepłej krwi, wyłamywał zamek, kradł, dygotał? Czyż będę się ukrywał, cały zalany krwią... z siekierą?... Jezus Maria, czyżby? (...).

#### Pytania do fragmentu IV

1. Wyjaśnij, jak rozumiesz sens pierwszego akapitu.
2. Streść sen Raskolnikowa.
3. Jak reaguje Raskolnikow na sen tuż po przebudzeniu się?
4. Odszukaj we fragmencie dwie cechy techniki naturalistycznego opisu.
5. Wypisz z analizowanego fragmentu wszystkie synonimy słowa *koń*.

#### Fragment V

##### List od matki

„Mój drogi Rodia - pisała matka - oto już przeszło dwa miesiące, jak nie gawędziłam z Tobą listownie co i mnie samą przyprawiało o cierpienie, tak że czasem myśli całą noc nie dawały mi oka zmrzyć. Ale Ty na pewno nie masz mi za złe tego mimowolnego milczenia. Wiesz, jak Cię kocham; ja i Dunia mamy tylko Ciebie; Tyś nasze wszystko, nasza jedyna nadzieja i otucha. Co się ze mną działo, gdyś mi napisał, że przed kilkoma miesiącami porzuciłeś uniwersytet nie mając z czego żyć, że się skończyły i korepetycje i inne źródła dochodu! Cóż mogłam zrobić dla Ciebie ze swoimi studwudziesięcioma rublami rocznej emerytury? Te piętnaście rubli, które Ci posłałam cztery miesiące temu, pożyczyłam, jak Ci wiadomo, na rachunek tejże emerytury, od tutejszego naszego kupca, Wasilia Wachruszyna. Dobry to człowiek, przyjaźnił się jeszcze z Twoim ojcem. Ale ponieważ upoważniłam go do podjęcia emerytury w moim imieniu, więc musiałam czekać, aż się dług wyrówna, a to stało się dopiero teraz, tak że przez cały ten czas nie mogłam Ci nic posłać. Lecz teraz, Bogu dzięki, zdaje się, będę mogła znów Ci przysłać, i w ogóle możemy się pochwalić, że się nam poszczęściło, o czym też śpieszę Ci donieść. Po pierwsze, czybyś się domyślił, drogi mój Rodia, że Twoja siostra już od sześciu tygodni mieszka tu ze mną i na przyszłość już się nie rozstaniemy. Chwała Bogu Najwyższemu, skończyły się jej udreki, ale opowiem Ci wszystko kolejno, żebyś wiedział, jak to było i cośmy dotychczas ukrywały przed Tobą. Gdyś mi pisał dwa miesiące temu, że słyszałeś od kogoś, że podobno Dunia znosi wiele przykrości wskutek ordynarnego obejścia w domu państwa Swidrygajłowów i gdy żądałeś ode mnie szczegółów - cóż miałam Ci odpowiedzieć? Gdybym napisała szczerą prawdę, tobyś, kto wie, rzucił wszystko i przyszedł do nas bodaj piechotą, bo przecież znam Twój charakter i serce, że nie pozwoliłbyś krzywdzić siostry. Byłam w rozpacz, ale cóż miałam począć? Zresztą i sama nie znałam wszystkiej prawdy. Najfatalniejsze to, że Dunieczka, godząc się do nich w zeszłym roku za guwernantkę, z góry pobrała aż sto rubli, której miano potrącać jej co miesiąc z pensji, więc przecie nie mogła porzucić posady nie uiściwszy tego długu. Tę zaś kwotę (teraz mogę ci wszystko wytłumaczyć, ukochany mój Rodia) wzięła głównie dlatego, żeby móc posłać Ci sześćdziesiąt rubli, których tak pilnie potrzebowałeś i które też dostałeś od nas zeszłego roku. Myśmy Cię wówczas oszukały, napisałyśmy, że to poprzednio przez Dunieczkę poczynione oszczędności, ale tak nie było, a teraz donoszę Ci całą prawdę, gdyż Pan Bóg wszystko teraz zmienił na lepsze, i żebyś wiedział, jak Ciebie Dunia kocha i jakie ma złote serce. Rzeczywiście, pan Swidrygajłow z początku traktował ją bardzo ordynarnie, pozwalał sobie na różne niegrzeczności i kpinki przy stole... Ale nie chcę się wdawać w te wszystkie przykre detale, żeby Cię nie irytować bez potrzeby, kiedy już wszystko się ułożyło. Krótko mówiąc, mimo że Marfa Pietrowna, małżonka pana Swidrygajłowa, i wszyscy domownicy traktowali Dunię bardzo dobrze i szlachetnie, Duni było nader ciężko, szczególnie kiedy pan Swidrygajłow, wedle dawnego pułkowego przyzwyczajenia, znajdował się

pod wpływem Bachusa. Ale cóż się później okazało? Wystaw sobie, że szalona pała już dawno zapłonął afektem do Duni, lecz ukrywał to pod pozorami gburowatości i lekceważenia. Może i sam się wstydził i przerażał, że on, człowiek w latach i ojciec dzieciom, żywił takie płocze nadzieje, i właśnie dlatego mimo woli złościł się na Dunie. Ale i to możliwe, że chciał swoim grubiaństwem i drwinami zasłonić przed wszystkimi istotną prawdę. Lecz w końcu nie wytrzymał i poważił się zrobić Dunie niedwuznaczną a haniebną propozycję, obiecując jej złote góry i że ponadto przeniesie się z nią do innej wsi albo i za granicę. Wyobrazasz sobie jej cierpienia! Z miejsca rzucić posady nie mogła, nie tylko z racji długu pieniężnego, ale również przez wzgląd na Marfę Pietrownę, która by mogła powziąć podejrzenia, co by popsuło ich pożycie. Zresztą nie obeszłoby się bez wielkiego skandalu i dla Duni. Było tutaj dużo różnych powodów, tak że przed upływem sześciu tygodni Dunia w żaden sposób nie mogła liczyć na wyrwanie się z tego okropnego domu. Naturalnie, znasz Dunie, wiesz, jaka ona mądra i jaki ma silny charakter. Dunieczka potrafi wiele znieść i w najtrudniejszych nawet okolicznościach zdobyć się na tyle męstwa, żeby nie stracić hartu ducha. Nic mi o tym nie doniosła, nie chcąc mnie martwić a przecie myśmy często pisywały do siebie. Rozwiązanie zaś tej historii przyszło niespodzianie. Marfa Pietrowna niechcący podsłuchiwała, jak jej mąż molestuje Dunieczkę w ogrodzie, zrozumiała wszystko na opak, zwała wszystko na nią, sądząc, że to ona nawarzyła tego piwa. Tu, w ogrodzie, wynikła okropna awantura: Marfa Pietrowna nawet uderzyła Dunie, nie chciała niczego słuchać, chociaż sama wrzeszczała całą godzinę, i wreszcie kazała natychmiast, odwieźć Dunie do mnie do miasta zwykłym wozem drabiniastym, na który rzucono wszystkie jej rzeczy, bieliznę, sukienki, jak popadło, nie związane i nie spakowane. Na domiar lunął ulewny deszcz i Dunia, zelżona i okryta hańbą, musiała jechać z chłopem aż siedemnaście wiorst furką bez budy. Powiedz sam, cóż mogłam Ci napisać w odpowiedzi na Twój list, otrzymany dwa miesiące temu, o czym pisać? Byłam w rozpacz; napisać Ci prawdy nie miałam odwagi, bo Ty byś był bardzo nieszczęśliwy, struty i oburzony, a cóż byś mógł poradzić? Jeszcze byś, broń Boże, zrobił sobie co złego, a i Dunieczka mi zakazała; wypełniać zaś listu bagatelami i byle czym, kiedy w sercu taki żal - nie mogłam. Przez cały miesiąc u nas tutaj krążyły po mieście plotki o tej historii i doszło do tego, żeśmy obie z Dunie nie mogły się pokazać w cerkwi ze względu na pogardliwe spojrzenia i szept, a nawet głośno w naszej obecności były różne powiedzenia. Wszyscy znajomi odzegnali się od nas, wszyscy przestali się kłaniać i miałam zupełnie pewną wiadomość, że subiekci sklepowi i niektórzy kanceliści zamierzają wyrządzić nam nikczemną obelgę, smarując dziegiem wrota naszego domu, tak że gospodarz zażądał, byśmy się wyprowadziły. Wszystko to zawdzięczałyśmy Marfie Pietrownie, która zdążyła zaszargać i błotem obrzucić Dunie we wszystkich domach. Ona tutaj zna wszystkie tajemnice i tamtego miesiąca przyjeżdżała raz po raz do miasta, a że jest cokolwiek gadatliwa i lubi rozpowiadać o swoich sprawach domowych, a zwłaszcza skarżyć się na męża wszem wobec każdemu z osobna, co jest bardzo nieładne, więc też rozniosła całą historię w krótkim czasie nie tylko w mieście, lecz i po całym powiecie. Rozchorowałam się, ale Dunieczka miała więcej hartu niż ja i szkoda, żeś nie widział, jak ona wszystko zносиła i jeszcze mnie pocieszała, dodawała otuchy! Prawdziwy anioł! Lecz Bóg miłosierny ulitował się i położył kres naszym strapieniom: pan Swidrygajłow opamiętał się, poczuł skruchę, widocznie zrobiło mu się żal Duni i przedstawił żonie całkowity i oczywisty dowód, że Dunia Bogu ducha winna, a mianowicie: list, który Dunia, zanim jeszcze Marfa Pietrowna zaszła ich w ogrodzie, była zmuszona napisać i przesłać mu, ażeby uchylić osobiste rozmowy i potajemne schadzki, których się napierał, a który to list po wyjeździe Dunieczki pozostał w ręku pana Swidrygajłowa. W tym liście wyrzucała mu jak najgoręcej i z wielkim oburzeniem właśnie jego nieszlachetny stosunek do Marfy Pietrowny, kładąc mu przed oczy, że przecie jest ojcem i małżonkiem, i wreszcie, że jaka to podłość z jego strony - nękać i unieszczęśliwiać dziewczynę, już i tak nieszczęśliwą i bezbronną. Słowem kochany mój Rodia, list ten jest napisany tak szlachetnie i wzruszająco, że się spłakała przy czytaniu, a i dotychczas nie mogę go czytać bez łez. Ponadto na usprawiedliwienie Duni złożyły się zeznania służby, która, jak to zwykle bywa, wiedziała i wiedziała daleko więcej, niż sobie wyobrażał sam Swidrygajłow. Marfa Pietrowna była piorunem rażona, jak sama nam wyznała, ale za to upewniła się zupełnie o niewinności Dunieczki i zaraz nazajutrz, w niedzielę, przyjechała wprost do soboru gdzie na klęczkach i ze łzami w oczach błagała Najświętszą Panne o siły do zniesienia tego nowego dopustu i do spełnienia obowiązku. Potem prosto z soboru, do nikogo nie wstępując, przyjechała do nas, opowiedziała nam wszystko, płakała gorzko i z wielką skruchą brała Dunie w objęcia, prosząc o przebaczenie. Tegoż poranku, bez żadnej zwłoki, prosto od nas udała się do wszystkich domów w mieście i wszędzie w słowach dla Dunieczki najpochlebniejszych, wylewając łzy, stwierdzała jej niewinność, szlachetność jej serca i postępowania. Nie dość tego: pokazywała wszystkim i głośno odczytywała własnoręczny list Dunieczki do Swidrygajłowa, a nawet kazała porobić odpisy (co już uważam za przesadę). Tak więc była zmuszona kilka dni z rzędu objeżdżać wszystkich w mieście, bo niektórzy czuli się dotknięci, że dała innym pierwszeństwo, i w ten sposób powstała cała kolejka, tak że w każdym domu już z góry wiedziano, iż takiego to dnia Marfa Pietrowna będzie tam odczytywała ten list, i na każde czytanie

zbierali się nawet ci, co ten Ust już kilka razy słyszeli i u siebie, i u znajomych, kolejno. Ja uważam, że bynajmniej, bynajmniej nie wszystko to było potrzebne, ale taka już jest Marfa Pietrowna. No, ale przynajmniej w pełni zwróciła Dunieczce honor, a cała szkarada tej sprawy legła niezatartym piętnem hańby na jej mężu, jako głównym winowajcy, tak że nawet mi go szkoda: aż za surowo postąpiono z tym postrzelencem. Duni zaraz zaczęto proponować lekcje w niektórych domach, ale odmówiła. W ogóle zaczęto ją naraz traktować ze szczególnym szacunkiem. To wszystko w znacznym stopniu przyczyniło się do tego nieoczekiwanego zdarzenia, które teraz, że tak powiem, zmienia cały nasz los. Dowiedz się, drogi mój Rodia, że o Dunię zaczął się starać kawaler i że już nawet są po słowie, o czym też śpieszę zakomunikować Ci co rychlej. I chociaż to się zdecydowało bez poradzenia się Ciebie, jednak przypuszczam, że nie będziesz miał żalu ani do mnie, ani do siostry, bo zaraz się przekonasz, żeśmy żadnym sposobem nie mogły czekać i odkładać aż do otrzymania odpowiedzi od Ciebie. Zresztą i Ty byś nie zdołał z daleka wszystkiego szczegółowo rozważyć. Więc słuchaj, jak to było. On już jest radcą dworu - Piotr Pietrowicz Łuzyn, daleki krewny Marfy Pietrowny, która niemało przyczyniła się do tej rzeczy. Zaczął od tego, że poprzez nią wyraził życzenie zabrania z nami znajomości; myśmy go przyjęły jak należy, poczęstowałyśmy go kawą, a już nazajutrz nadesłał list, w którym bardzo grzecznie się oświadczył i prosił o szybką i stanowczą odpowiedź. Człowiek to poważny, ma wiele zajęć i pilno mu teraz do Petersburga, tak że każda chwila jest mu droga. Ma się rozumieć, byłyśmy zrazu zupełnie oszołomione, ponieważ to wszystko stało się bardzo nagle i niespodzianie. Naradzałyśmy się obydwie i namyślały przez cały dzień. Człowiek to budzący zaufanie, majątny, ma dwie posady i już odłożył spory grosz. Co prawda ma już czterdzieści pięć lat, ale jest dosyć miłej powierzchowności i jeszcze może się podobać kobietom, i w ogóle człowiek bardzo solidny, przyzwoity, tylko że troszeczkę posepny i jak gdyby wyniosły. Ale może to tylko tak się wydaje na pierwszy rzut oka. Uprzedzam Cię, kochany Rodia, kiedy się z nim zobaczysz w Petersburgu, co stanie się bardzo niedługo, nie sądz go zbyt pochopnie, jak to masz w zwyczaju, o ile przy pierwszym spotkaniu coś Ci się w nim niezupełnie spodoba. Mówię to na wszelki wypadek, choć jestem pewna, że wyrzuci na Tobie wrażenie dodatnie. Bo też w ogóle, chcąc kogoś poznać należycie, trzeba zbliżać się do niego stopniowo i ostrożnie, żeby nie wpaść w pomyłkę i uprzedzenie, które później bardzo trudno naprawić i zatrzeć. A Piotr Pietrowicz - przynajmniej z wielu oznak sądząc - zupełnie zasługuje na szacunek. Zaraz za pierwszą bytnością oświadczył nam, że jest człowiekiem solidnym, lecz pod niejednym względem podziela, jak sam się wyraził, zapatrywania naszej nowej generacji i jest wrogiem wszelkich przesądów. Dużo mówił też innych rzeczy, gdyż jest jak gdyby cokolwiek próżny i bardzo lubi, żeby go słuchano, ale to przecie nieznaczną przywarą, prawda? Ja, oczywiście, mało co rozumiem, lecz Dunia mi wytłumaczyła, że człowiek to chociaż bez wielkiego wykształcenia, ale rozumny i, zdaje się, dobry. Znasz usposobienie siostry, Rodia. To dziewczyna rozsądna, dla siebie surowa, dziewczyna cierpliwa i wielkoduszna, choć serca zapalczywego, które tak dobrze poznałam. Ma się rozumieć, ani z jej, ani z jego strony szczególniejszej miłości tu nie ma, lecz Dunia jest nie tylko dziewczyną mądrą, ale także istotą szlachetną jak anioł i ma sobie za powinność zapewnić szczęście mężowi, który by ze swej strony dbał o jej szczęście, o tym zaś wątpić nie mamy na razie większych powodów, chociaż, co tu gadać, trochę za prędko to poszło. Na dobitkę, człowiek to bardzo roztropny i, naturalnie, sam pozna, że jego własne szczęście małżeńskie będzie tym pewniejsze, im lepiej będzie z nim Dunieczce. A że tam jakieś drobne usterki charakteru, jakieś zadawnione nawyki czy nawet pewna rozbieżność poglądów (czego przecież i w najbardziej dobranych stadłach nie da się uniknąć), to na ten temat Dunieczka powiedziała mi sama, że polega, na sobie; że nie ma się o co frasować i że ona potrafi dużo znieść, pod warunkiem, żeby przyszłe pożycie było uczciwe i prawe. Na przykład on mi się z początku wydał jakby trochę szorstki; ale to wszak może pochodzić właśnie stąd, że jest człowiekiem prostolinijnym; tak, na pewno stąd. Na przykład za drugą wizytą, już mając jej zgodę, wyraził się w trakcie rozmowy, że już dawniej, przed poznaniem Duni, postanowił sobie poślubić pannę uczciwą, ale bez posagu, i tylko taką, która zakosztowała biedy; bo, jego zdaniem mąż nie powinien nic zawdzięczać żonie i daleko jest lepiej, jeżeli żona uważa męża za swego dobroczyńcę. Dodam, że on to wysłowił nieco miękcej i łagodniej, niż ja napisałam, bo dokładne jego zwroty wyleciały mi z głowy, zapamiętałam tylko sens, a przy tym powiedział to wcale nie z rozmysłu - widocznie wyrwało mu się w zapale konwersacji, tak że później starał się nawet sprostować i złagodzić, tak czy owak, mnie się to wydało jakby trochę szorstkim i później mówiłam o tym Duni. Lecz ona z niezadowolaniem odpowiedziała, że „co innego słowa, co innego czyny” - i, naturalnie, miała świętą rację. Przed powzięciem decyzji Dunieczka nie spała całą noc i sądząc, że ja już śpię, wstała z łóżka i całą noc modliła się przed obrazem, a nazajutrz rano oświadczyła mi, że się zdecydowała.

Wspomniałam Ci już, że Piotr Pietrowicz udaje się do Petersburga. Ma tam duże interesy, chce otworzyć w Petersburgu publiczną poradnię adwokacką. Od dawna chodzi koło różnych pozwów i podań i właśnie ostatnio wygrał jeden znaczniejszy proces. Do Petersburga musi teraz koniecznie pojechać i dlatego, że ma w senacie jedną poważną sprawę. Tak więc, drogi mój Rodia, on i Tobie może być wielce pomocny

w niejednym, a właściwie we wszystkim, i myśmy obie z Dunią umyśliły sobie, że już z dniem dzisiejszym mógłbyś rozpocząć na dobre swoją przysłą karierę i uważać dalsze swoje losy za wyraźnie wytknięte. Och, gdybyż to się ziściło! Byłoby to takie wspaniałe, że trzeba by to uznać za szczególniejszą nad nami opiekę Opatrzności. Dunia o niczym innym nie marzy. Wzięłyśmy na odwagę i już powiedziałyśmy Piotrowi Pietrewiczowi kilka słów w tej mierze. Odpowiedział ogłędnie, zaznaczając, że ponieważ, naturalnie, on sobie nie da rady bez sekretarza, więc, ma się rozumieć, lepiej jest płacić pensję nie obcemu, tylko krewniakowi, o ile ten okaże zdolności (Ty byś miał nie okazać zdolności!), lecz od razu zastrzegł się, że ma obawy, czy studia uniwersyteckie zostawią Ci dosyć czasu na pracę w jego biurze. Na tym się na razie skończyło, ale Dunia obecnie o niczym innym nie myśli. Teraz, od kilku dni, jest jak w gorączce i ułożyła sobie cały plan, że w przyszłości możesz zostać współpracownikiem, a nawet współnikiem Piotra Pietrewicza w jego sprawach sądowych, tym bardziej że jesteś na wydziale prawniczym. Ja zaś, Rodia, całkiem się z nią zgadzam i podzielam wszystkie jej plany i nadzieje, które wydają mi się zupełnie realne; bez względu więc na obecną, całkiem zrozumiałą powściągliwość Piotra Pietrowicza (gdyż on Ciebie jeszcze nie zna) Dunia jest przekonana, że dopnie wszystkiego przez swój dobry wpływ na przyszłego męża, i jest tego pewna.

#### Pytania do fragmentu V

1. Zacytuj trzy zwroty, które świadczą o miłości i trosce matki do Rodiona.
2. Jaka jest sytuacja finansowa rodziny bohatera?
3. Jaka sytuacja sprawiła, że siostra Raskolnikowa, Dunia, została upokorzona w domu Swidrygajłowów?
4. Scharakteryzuj krótko narzeczonego Duni, Piotra Łużyna, określając jego wiek i majątek.
5. Dlaczego matka stara się przedstawić Łużyna w dobrym świetle, aby nie zrazić syna do narzeczonego siostry?
6. Wypisz negatywne cechy Łużyna, których matka nie umie ukryć.
7. Jaki był prawdziwy motyw, którym Dunia kierowała się przy podjęciu decyzji o wyjściu za mąż za Piotra Łużyna.

#### Fragment VI

##### **Przypadek**

- Niechby Lizawieta Iwanowna zdecydowała osobiście - głośno mówił straganiarz. - Proszę przyjść jutro o jakiej siódmej. Tamci także przyjdą.

- Jutro?... - rzekła Lizawieta przeciągle, w zamyśleniu, jakby niezdolna do decyzji.

- A to dopiero ma pani boja przed siostrą! - zaterkotała żona handlarza, babina rezolutna. - Patrzę na panią i myślę sobie: prawdziwe dziecko. Przecie to nawet nie rodzona panina siostra, tylko przyrodnia, a chodzi pani u niej jak w dyszlu.

- Ja radzę: tym razem proszę nic nie mówić Alonie Iwanownie - przekładał mąż. - Niech pani wstąpi do nas nie opowiadając się. To interes korzystny. Później i panina siostrzyczka sama zmiarkuje.

- Może naprawdę wstąpić?...

- O siódmej, jutro; i tamci także przybędą; pani postanowi osobiście.

- I herbatką poczęstujemy - dodała żona.

- Dobrze, przyjdę - powiedziała Lizawieta, wciąż jeszcze zamyślona, i z wolna jęła się zabierać do odejścia.

Raskolnikow wyminął ich i nic już więcej nie słyszał. Szedł był powoli, chyłkiem, starając się nie uronić ani jednego słowa. Jego początkowe zaskoczenie stopniowo ustępowało miejsca zgrozie: skóra mu cierpła. Oto się dowiedział, dowiedział się nagle, raptownie i zupełnie niespodzianie, że jutro, punktualnie o siódmej wieczór, Lizawieta - siostra staruchy i jedyna jej współmieszkanka - wyjdzie z domu i że zatem stara punkt o siódmej wieczór zostanie w domu sama. (...)

Prawie tuż koło niego, przy drugim stoliku, siedzieli: student, którego wcale nie znał i nie pamiętał, oraz młody oficer. Właśnie skończyli partię bilardu i zasiedli do herbaty. Wtem usłyszał, że student mówi oficerowi o lichwiarce Alonie Iwanownie, wdowie po urzędniku, i podaje mu jej adres. Już to samo wydało się Raskolnikowowi jakies dziwne: właśnie wraca stamtąd, a ci o niej gadają. Przypadek, rzecz oczywista, ale on właśnie się bije z pewną niepowszednią myślą, a tu, rzekłbyś, ktoś usłużnie mu sekunduje: student począł nagle udzielać swemu rozmówcy różnych szczegółów o tej Alonie Iwanownie.

- Zaczyna niewiasta - prawil - zawsze można u niej dostać pieniędzy. Bogata jak Żyd, potrafi od razu dać na rękę pięć tysięcy, ale nie wzgardzi też rublowym zastawem. Dużo naszych kolegów tam bywa. Tylko że to okropne ściierwo...

I ją opowiadać, że jest zła, ma muchy w nosie; że wystarczy prześlepić termin o jeden bodaj dzień, a zastaw przepada. Daje czterokrotnie mniej, niż rzecz jest warta, a zdiera siódmą skórę, żąda po pięć, ba, po siedem procent miesięcznie itd. Student się rozgadał i opowiedział ponadto, że stara ma siostrę, Lizawietę, którą ona - taka drobna i niewydarzona - bije co chwila i trzyma w całkowitej niewoli, niby małe dziecko, gdy tymczasem Lizawieta jest wyższa od niej przeszło o głowę...

- Fenomenalne! - zakonkludował student i wybuchnął śmiechem.

Zaczęli rozmawiać o Lizawiecie. Student gadał o niej z jakimś osobliwszym upodobaniem i wciąż się śmiał; oficer słuchał bardzo uważnie, a wreszcie poprosił, by mu student przysłał tę Lizawietę, gdyż ma bieliznę do cerowania. Raskolnikow nie przegapił ani słówka i wszystkiego naraz się dowiedział: Lizawieta jest młodszą, przyrodnią (z innej matki) siostrą starej, ma już trzydzieści pięć lat. Haruje dla siostry od świtu do nocy, zastępuje jej kucharkę i prачkę, a ponadto szyje na sprzedaż, ba, wynajmuje się do mycia podłóg, a wszystkie zarobki oddaje siostrze. Nie wolno jej przyjąć żadnego zamówienia ani żadnej pracy bez pozwolenia starej. A stara już zrobiła testament, o czym wie Lizawieta, która na mocy tegoż testamentu nie ma dostać ani złamanego szeląga, tylko ruchomości, jak krzesła i tym podobne; wszystkie zaś pieniądze przeznaczone są dla pewnego monasteru w guberni n-skiej na intencję wiecznego pokoju duszy testatorki. Lizawieta była zapisana w poczet prostych mieszczan, nie zaś do klasy urzędniczej; była to panna nad podziw nieforemna, rażąco wysokiego wzrostu o długich, wielkich, jakby wykrzywionych nogach, zawsze obutych w trzewiki z kozłowej skóry; nosiła się nader czysto. Ale co najbardziej dziwiło i śmieszyło studenta, to, że Lizawieta raz po raz zachodziła w ciążę...

- Przecie powiadasz, że to monstrum - wtrącił oficer.

- Ano, smagła taka, zupełnie niby przebrany żołnierz, ale wiesz? wcale nie monstrum. Tak dobrze patrzy jej z oczu i twarzy. Bardzo. Najlepszy dowód to, że wielu w niej gustuje. Taka cicha, łagodna, potulna, na wszystko się godzi. A uśmiech ma nawet bardzo ładny.

- Ho-ho, toć ona i tobie się podoba! - roześmiał się oficer.

- Bo taka dziwna. Słuchaj, wiesz, co ci powiem? Ja bym tę przeklętą starą babę zabił i obrabował, i bądź pewien, że zrobiłbym to bez najmniejszych wyrzutów sumienia - dodał student z zapalem.

Oficer znów parsknął śmiechem, a Raskolnikow drgnął. Jakie to dziwne!

- Pozwól, chcę ci zadać jedno pytanie na serio - gorączkował się student. - Przed chwilą zażartowałem, naturalnie, lecz pomyśl: z jednej strony - głupia, bezmyślna, nic niewarta, zła, chora baba, nikomu niepotrzebna, owszem, szkodliwa, która sama nie wie, po co żyje, a która jutro i tak wyzionie ducha. Rozumiesz? Rozumiesz?

- No tak, rozumiem - odparł oficer, bacznie się wpatrując w swego podnieconego towarzysza.

- Słuchaj dalej. Z drugiej strony - młode, świeże siły, ginące bez wsparcia, i to tysiącami, i to na każdym kroku! Sto, tysiąc dobrych poczynań można by poprzeć i zrealizować za pieniądze tej staruchy, które się zaprzepaszczą w monasterze! Setki, może tysiące ludzkich istnień dałoby się skierować na właściwą drogę; dziesiątki rodzin ocalić od nędzy, rozkładu, zguby, od rozpusty, od wenerycznych szpitali - i to wszystko za jej pieniądze. Zabij ją i weź jej pieniądze, z tym że następnie z ich pomocą poświęcisz się służbie dla całej ludzkości, dla dobra powszechnego: jak sądzisz, czy tysiące dobrych czynów nie zmażą jednej drobniuteńkiej zbrodni? Za jedno życie - tysiąc żywotów uratowanych od gnicia i rozkładu. Jedna śmierć, w zamian za sto żywotów - przecież to prosty rachunek! Zresztą, co waży na ogólnej szali życie tego suchotniczego, głupiego i złego babsztyla? Nie więcej niżli życie wszy, karalucha, a nawet mniej, bo to sekutnica szkodliwa. Zżera cudze życie: to jęzka, niedawno ze złości ugryzła Lizawietę w palec - już miano amputować!

- Naturalnie, nie zasługuje na życie - potwierdził oficer - ale tu wchodzi w grę przyroda.

## Pytania do fragmentu VI

1. Jaki wpływ na decyzję o zabójstwie lichwiarki miała przypadkowo usłyszana rozmowa Lizawiety z handlarzem?
2. Na podstawie fragmentu dotyczącego rozmowy studenta z oficerem:
  - a. Wskaż cztery cechy Alony jako lichwiarki.
  - b. Jak Lizawieta jest traktowana przez swoją siostrę przyrodnią, Alonę?
  - c. Na co lichwiarka przeznaczy fortunę, którą gromadzi?
3. Jak zasłyszana rozmowa wpłynie na Raskolnikowa?

## Fragment VII

### Reakcje po zbrodni

- Anastazjo... za co bili gospodynię? Bacznie mu się przyjrzała.
- Kto bił gospodynię?
- Tylko co... pół godziny temu. Ilia Pietrowicz, zastępca komisarza, na schodach... Za co tak ją zbił? I... po co przychodził?

Anastazja w milczeniu i ze zmarszczonymi brwiami utkwiała w nim oczy i długo tak patrzyła. Pod jej wzrokiem zrobiło mu się bardzo nieprzyjemnie, nawet straszno.

- Anastazjo, czemu milczysz? - spytał wreszcie nieśmiało, słabym głosem.

- To krew - odparła w końcu cicho i jakby do siebie samej mówiąc.

- Krew!... Jaka krew?... - jąkał blednąc i odsuwając się pod ścianę. Anastazja, wciąż patrzyła na niego bez słowa.

- Nikt gospodyni nie bił - rzekła znów głosem surowym i stanowczym. Spozierał na nią, ledwie dysząc.

- Ja sam słyszałem... nie spałem... usiadłem na łóżku - bąknął jeszcze pokorniej. - Słuchałem długo...

Przychodził zastępca komisarza... Na schody zbiegli się wszyscy, ze wszystkich mieszkań...

- Nikt nie przychodził. To krew w tobie krzyczy. Jak krew nie ma już nijakiego wyjścia i już zsiada się na wąpłach - wtenczas się człowiekowi przywiduje... Będziesz jadł czy nie?

Nie odpowiedział. Anastazja wciąż stała nad nim, bacznie na niego patrzyła i nie odchodziła.

- Daj mi pić... Nastieńka.

Poszła na dół i po paru minutach wróciła z wodą w białym fajansów; kubku; lecz on już nie pamiętał, co było potem. Pamiętał tylko, że łyknął haust zimnej wody, a reszta rozlała mu się z kubka na pierś. Potem stracił przytomność. (...)

Raskolnikow wstał i wszedł do przyległego pokoju, gdzie dawniej stał kuferek, łóżko i komoda; pokoił wydał mu się zadziwiająco malutki mebli. Tapet jeszcze nie zmieniono; w kącie jaskrawo zaznaczało się tapecie to miejsce, gdzie przedtem była szafka na święte obrazy. Przyjrzał się i wrócił na swój parapet. Starszy robotnik z ukosa rzucił na niego spojrzenie

- Pan w jakiej sprawie? - zwrócił się nagle do Raskolnikowa.

Zamiast odpowiedzi Raskolnikow wstał, wyszedł do siebie, ujął za dzwonek i szarpnął. Tenże dzwonek, tenże blaszany dźwięk! Szarpnął drugi, trzeci raz; wsłuchiwał się i przypominał sobie. Dawne, dręcząco-straszne, pokracczne uczucia odnawiały się w nim coraz żywiej i ostrzej; wzdrygał się za każdym brzękiem, przy czym robiło mu się coraz przyjemniej, coraz przyjemniej.

- Czego chcesz? Coś za jeden? - krzyknął robotnik zbliżając się do niego. Raskolnikow znowu wszedł do pokoju.

- Chcę wynająć mieszkanie - rzekł. - Oglądam.

- Któż wynajmuje mieszkanie w nocy? I trzeba było przyjść ze stróżem.

- Widzę, że podłoga wyszorowana; będziecie malowali? - ciągnął Raskolnikow. - Krwi już nie ma?

- Jakiej krwi?

- Przecie zamordowano tu starą i jej siostrę. Była tutaj cała kałuża.

- Dobrze, ale ktoś ty taki? - niespokojnie zawołał robotnik.

- Ja?

- Tak.

- Chciałbyś wiedzieć?... Chodźmy na policję; tam powiem. Robotnicy patrzeli na niego w osłupieniu.

- Czas na nas, już późno. Chodźmy, Aloszka. Trza zamykać - odezwał się wreszcie starszy.

- Zgoda, chodźmy! - odparł Raskolnikow i ruszył przodem, bez pośpiechu zstępując ze schodów. - Hej tam, stróż! - krzyknął wychodząc przez bramę."

### Pytania do fragmentu VII

1. Wypisz co najmniej pięć reakcji Raskolnikowa po dokonanej zbrodni.
2. Dlaczego Raskolnikow odwiedza mieszkanie, w którym mieszkała lichwiarka?
3. Kim był Porfiry Pietrowicz i jaką rolę odegrał w życiu Raskolnikowa?